

Salieri, czyli kult średniactwa

Na deski teatru Studio wchodzi „Amadeus” w reżyserii Zbigniewa Brzozy. Maja Ruszpel rozmawia ze Zbigniewem Zapasiewiczem, odtwórcą roli Salieriego.

► Krąży opinia, że nieszczególnie lubi Pan udzielać wywiadów.

Nie lubię, bo często mam do czynienia z ludźmi, którzy przychodzą z zerową wiedzą na temat swojego rozmówcy. Jednocześnie zawsze się boję, że ktoś moją niechęć in-

terpretuje niewłaściwie, pomyśli, że się nadymam, że zachowuję się jak jakaś gwiazda. W związku z tym bardzo często udzielam tych wywiadów ze strachu...

Z drugiej strony wiem, że jeśli wywiad dotyczy spraw istotnych, to warto te opory w sobie pokonać. Choćby dlatego, że mało się dziś publicznie mówi o problemach naszego zawodu, o współczesnym teatrze.

► Dokończenie s. 13

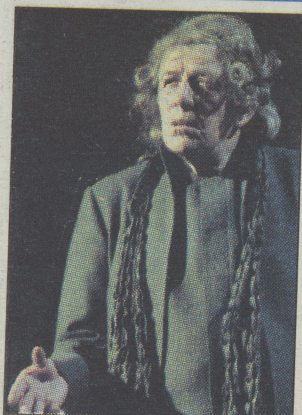


foto TP



Salieri reprezentuje istniejącą w każdej epoce rzeszę przeciętniaków – mówi Zbigniew Zapasiewicz

foto Tomasz Paczos

Kult średniactwa

► Dokończenie ze s. 1

Na deskach Teatru Studio można już oglądać „Amadeusa”. Rozmawiamy ze Zbigniewem Zapasiewiczem, odtwórcą roli Salieriego.

► Przed premierą „Króla Leara” powiedział Pan, że dwa razy odrzucił propozycję zagrania tej roli. W przypadku „Amadeusa” sytuacja jest odwrotna – drugi raz zagra Pan Salieriego, którego wcześniej widzowie mogli zobaczyć w Teatrze Telewizji.

Teatr Telewizji to zupełnie inny rodzaj widowiska niż teatr żywy. Ja nawet nie odwołuję się do tego, co było grane w 1993 roku. W Teatrze Studio nie zagramy bezpośrednio takiego najprostszego motywu, że Salieri był zawistny wobec Mozarta, czyli motywu, który był jednoznacznie wyeksponowany w dramacie Puszkina: zły Salieri i wspinały Mozart. Próbuje tę sytuację skomplikować. To ma być dyskusja dwóch kompozytorów. Salieri nie był złym muzykiem, miał swój pogląd na sztukę, był dobrym rzemieślnikiem, ówczesnie był bardzo popularny. Jego nieszczęściem było to, że żył w epoce, w której obok niego pojawił się geniusz. Poza tym Salieri część umiejętności wykorzystywał na robienie kariery, Mozart tymczasem na takie rzeczy nie zwracał uwagi, bo cały był w muzyce, był muzyką, był człowiekiem obdarzonym przez Boga czymś nadludzkim – talentem. Utalentowani rodzą się raz na epokę. Styk tych dwóch indywidualności i dwóch poglądów na sztukę najbardziej nas interesuje.

► Jak Pan sądzi, kim byłby Salieri, gdyby żył współcześnie w Polsce?

Być może byłby człowiekiem, który w sposób profesjonalny zajmowałby się muzyką. Byłby zapew-

ne popularny w mediach, starałby się zaistnieć w środowiskach nowej burżuazji, chodziłby na bankiety. To byłby człowiek, który wykorzystywałby swoje umiejętności, aby się wypromować, by istnieć poza sferą samego komponowania. Może robiłby karierę ministerialną? Przecież sam fakt, że ktoś dziś umie coś robić, nie wystarcza, żeby zaistnieć. Obecnie jest to bardzo czytelne. Trzeba wokół siebie robić dodatkową atmosferę, trzeba umieć się sprzedawać. Salieri to umiał, Mozart nie.

► Czy podpisałby się Pan pod twierdzeniem, że Salieri jest po trochu każdy z nas?

Salieri ironicznie i tragicznie kończy sztukę inwokacją do przeciętniaków: „Miernoty wszystkich czasów rozgrzeszam was”, bo ma świadomość swojej przeciętności wobec Mozarta. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy przeciętni – dzisiaj obserwujemy swoisty kult przeciętniactwa. Ludzie, którzy mają coś wybitnego do powiedzenia, funkcjonują w dosyć wąskim obiegu społecznym. Żyje się średnio, to średnie jest najlepsze, wygodne, daje możliwość jakiejś pseudokariery. Myślę, że powinniśmy się przed tym bronić.

► „Amadeus” jest także o niesprawiedliwości losu... Pan zna tę sytuację najlepiej – pierwszy Pana sukces miał miejsce 10 lat po zrobieniu dyplomu szkoły teatralnej.

W pewnym sensie wszyscy jesteśmy przeciętni – dzisiaj obserwujemy swoisty kult przeciętniactwa.

Zelwerowicz uważał, że aktor dopiero po 10 latach może pokazać, co umie. Kiedy jako zupełnie początkujący aktor, 3 lata po dyplomie, grałem w „Moralności Pani Dulskiej”, przyszedł mój profesor Jan Kreczmar i powiedział: „Zdaje się, że z ciebie może będzie w przyszłości aktor”. Dla mnie był to wielki komplement. Ale to były zupełnie inne czasy. Nie można się do nich odwoływać, bo one dla młodego człowieka nic nie znaczą. Jest to tylko trucie starego zgreda, że dawniej było inaczej czy lepiej.

Po prostu wówczas teatr miał zupełnie inną rangę. Teatr był instytucją podstawową – tylko przez teatr moż-

na było awansować na rynku. Aktorzy, którzy dzisiaj słusznie uważani są za czołowych – Marek Kondrat czy Piotr Fronczewski – zaczęli od statystowania, szli naturalną drogą. Ale byli dostrzegani. Dzisiaj promowani są ludzie, którzy nie zasłużyli na to, by wykonywać ten zawód. Jeżeli na czołowego artystę wyrasta Piotr Gulczyński z „Big Brother”, jeżeli jest bałagan w mózgach i bałagan w ocenie umiejętności, to nic dziwnego, że ludzie się całkowicie pogubili.

► A zagrałby Pan w sztuce, gdyby takowa powstała, której tematem byłby „Big Brother”?

Zależy, o czym by była. Gdyby ktoś napisał sztukę o pewnym zja-

wisku socjologicznym, do którego należy program „Big Brother”, gdyby to zjawisko ktoś właściwie zinterpretował, czemu nie.

► Wracając do Salieriego, dla mnie jest on człowiekiem, który przegrał swoje życie. Kimś, kto nie jest tym, kim chciałby być. Zapytam żartem: nie żałuje Pan, że nie jest chemikiem? Studiował Pan przecież na Politechnice...

Chemikiem nie. Czasem żałuję, że nie poświęciłem się naukom ścisłym. Ale kiedy robiłem maturę, czasy były inne – to były lata stalinowskie, nie wiedziało się wówczas, co dzieje się na świecie. Uważano, że matematyka jest nauką zamkniętą, nikomu się nie śniło o komputerach, cybernetyce, informatyce. Ale szczególnie się nie zastanawiam nad tym, „co by było gdyby”.

► Jak się czuje człowiek, który otwiera encyklopedię i widzi swoje nazwisko?

Przyjemnie. Tym bardziej że aktorstwo jest potwornie ulotnym zawodem – taśmy filmowe się wycierają, a to, co teraz gramy, już za 20 lat będzie martwe. To miłe, że zostanie po nas jakiś ślad. Jednocześnie znalezienie się w encyklopedii to nie jest jakiś szczególny powód do dumy, nie czuję się od tego czasu zobowiązany inaczej się zachowywać, niczego to nie zmieniło w moim myśleniu o świecie. Ale to przyjemne, że ktoś mnie zauważył. Nie będę tego ukrywał.

Maja Ruszpel

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ

► ur. 1934 r., jeden z najbardziej utalentowanych i wszechstronnych polskich aktorów. Laureat ok. 50 nagród teatralnych i filmowych. Ostatnio za główną rolę w filmie K. Zanussiego „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” uhonorowany na Międzynarodowym Festiwalu Fil-

mowym w Santa Barbara oraz Złotymi Lwami Gdańskimi; ponadto zdobywca „Feliksa Warszawskiego” w sezonie 2000/2001 za rolę tytułową w „Królu Learze”. Zagrał ponad 350 ról w teatrze, filmie i telewizji. Na stałe związany z Teatrem Powszechnym w Warszawie. mr